

W SZPITALU NIE KOŃCZY SIĘ ŻYCIA

Szpital to nie miejsce do godnego umierania - mówią lekarze z Winiar. - Ludzie nie powinni w nich ukończyć życia. Ale tak się dzieje, bo czasami nie ma innego rozwiązania

UMIERAĆ PO LUDZKU
AKCJA SPOŁECZNA

MAŁGORZATA SIUTA

Oddział położniczo-ginekologiczny w szpitalu na Winiarach to miejsce specyficzne, gdzie czasami nastroj zmienia się z minuty na minutę. Tutaj przede wszystkim wita się nowe życie. Ale czasami trzeba też to życie pożegnać.

- Kobiety umierają u nas głównie na nowotwory - opowiada ordynator oddziału Wojciech Panek. - Zawsze walka o ich życie trwa do końca. Nie ma chyba pacjentki ani rodziny, która do ostatniej chwili nie miałaby nadziei na wyzdrowienie. Ale przychodzi taki moment, gdy nie jesteśmy w stanie zaoferować nic więcej poza leczeniem paliatywnym, objawowym. Zawsze informujemy rodzinę chorej, że wyczerpaliśmy możliwości. I mówimy o tym, że od lat współpracujemy z hospicjum. Na tym ostatnim etapie życia to właśnie tam lepiej opiekują się pacjentem. W szpitalu na takie indywidualne podejście do każdego człowieka często po prostu nie ma czasu. Ale to nie my podejmujemy tę ostateczną decyzję. Szpital zapewnia opiekę do końca. Tylko rodzina albo pacjent mogą zdecydować o zabraniu chorego do domu czy przeniesieniu go do hospicjum - dodaje Wojciech Panek.

Bywają jednak osoby, które to właśnie w szpitalu wolą spędzić swoje ostatnie chwile. - Czują się tutaj bezpiecznie - opowiada doktor Anna Fleming z poradni onkologicznej

na Winiarach. Od kilku lat współpracuje też z hospicjum. - To jest jak balsam na ich duszę. Do końca mają nadzieję, że coś się zmieni, czują, że w razie potrzeby znajdą w szpitalu odpowiednią pomoc.

Ludzie w szpitalu często umierają sami. - Najczęściej nie ma przy nich rodziny. Mimo nieuchronności tego, co ma się wydarzyć, sam fakt umierania odbywa się jednak niespodziewanie - tłumaczy Wojciech Panek.

Wielu pacjentów nie wie, jak bardzo poważna jest ich choroba. - Zaplanowała moda na mówienie prawdy. To szkoła amerykańska - mówi Wojciech Panek. - Nie jestem jej zwolennikiem. Wielu chorych podświadomie nie chce tego wiedzieć. Dlatego zawsze z rodziną ustalamy najpierw sposób postępowania. Nie ma tu jednej prostej zasady.

Inne zdanie na ten temat ma Anna Fleming. - Jestem za mówieniem prawdy - twierdzi. - Potem można grać w otwarte karty. Jeśli się tego nie robi, bywają sytuacje, gdy pacjent denerwuje się, że zbyt długo leży na oddziale, nie widzi poprawy.

Ludzie młodzi i ci, którzy zdążyli już przeżyć wiele lat, umierają inaczej. - Wszyscy chyba zdajemy sobie sprawę z tego, że wiek ma swoje wymagania i kiedyś przychodzi śmierć - mówi Wojciech Panek.

- Najczęściej ludzie starsi są ze zbliżającą się śmiercią pogodzeni - twierdzi Anna Fleming. - Młodzi buntują się, tyłu rzeczy nie zdążyli jeszcze zrobić. Mieli wybudować dom, odchowac

dzieci. Są źli na cały świat, że nie uda się tego zrobić. Ale są wyjątki. Pamiętam 20-letniego chłopaka, który niedawno umierał w hospicjum. Z przystojnego młodego człowieka zrobił się staruszek zdany na łaskę innych. Rodzina odwiedzała go rzadko, a on mimo wszystko był bardzo pogodny.

Wojciech Panek: - Jeśli pacjentka umiera na dyżurze, rodzinę informuje o tym lekarz dyżurny. W pozostałych przypadkach robi to ordynator - tłumaczy.

Lekarze przyznają, że po wielu latach pracy w zawodzie wcale nie jest łatwo informować rodzinę o śmierci bliskiej osoby albo o jej nieuleczalnej chorobie. - To dla mnie trudne chwile, chciałabym, żeby zdarzały się jak najrzadziej - mówi ordynator oddziału położniczo-ginekologicznego.

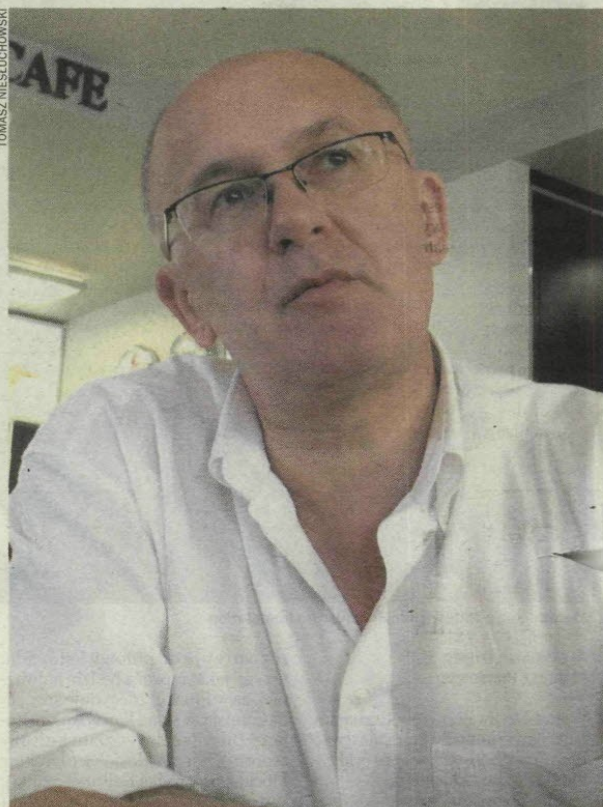
Chociaż medycy ze śmiercią pacjentów spotykają się często, niektóre historie pamiętają latami.

- Szczególnie chodzi za mną jeden, chyba mój pierwszy przypadek - opowiada Wojciech Panek. - Wiele, wiele lat temu jako młody lekarz zacząłem pracę w pogotowiu. Zgłosił się do nas pacjent z objawami zawału. Dotarł jeszcze o własnych siłach, ale chwilę potem zasłabł. I zmarł w trakcie reanimacji. Chociaż minęło tyle czasu, pamiętam to zdarzenie do tej pory. Tak samo, jak bardzo długo będę pamiętał zdarzenie sprzed kilku lat. Spotkałem się wtedy ze śmiercią człowieka w najmniej spodziewanym miejscu. Wyporotowany, nie taki stary jeszcze człowiek zmarł przy mnie na korcie tenisowym.

- Pamiętam jednego pacjenta z hospicjum - wspomina Anna Fleming. - Podziękował mi za opiekę, pocałował mnie w rękę i zmarł. Jakby wszystko sobie dokładnie zaplanował - dodaje i kontynuuje: - Nie umiem powiedzieć, czy lepiej, aby umieranie odbywało się świadomie, czy nie. Na pewno godne umieranie powinno odbywać się bez bólu i cierpienia. Na szczęście ludzie już nie boją się morfiny jak kiedyś. Podaje się ją umierającym, a ona odłącza mózg od niedoskonałego ciała. Chory nie cierpi, przestaje się bać śmierci. Ale czasami tego odejścia boi się nie sam pacjent, tylko rodzina. Pamiętam przypadek, gdy bliscy bali się towarzyszyć umierającemu. A on chciał, żeby go potrzymać za rękę. Ja musiałam to zrobić. Umierającemu człowiekowi nie powinno się już niczego odmawiać.

Wojciech Panek dodaje: - Jeśli ludzie umierają świadomie, i są z tym pogodzeni, odchodzą godnie.

W hospicjum życie zwalnia, nie tylko chorych. Wystarczy przejść się do hospicjum przy ul. Granicznej i przekroczyć bramę. Kilkaset metrów dalej jest ruchliwa ulica, trwa wieczna pogonia. A tam jest zupełnie inny świat. - Tutaj ludziom do niczego się nie spieszy, tempo zwalnia - opowiada Dariusz Ratkowski, wolontariusz. - Dlatego tu przychodzi od sześciu lat. Początki nie były łatwe. Pamiętam, że zacząłem pracę wolontariusza w styczniu. Zaprzyjaźniłem się z jednym z pacjen-



Wojciech Panek: - Jeśli ludzie umierają świadomie i są z tym pogodzeni, odchodzą godnie

tów. Miał na imię Kazimierz. Zapowiadał, że w marcu wyprawi w hospicjum imieniny. Wszyscy się na nie szykowaliśmy. Nie zdążył, zmarł kilka dni przed świętem. Nagle i przystojnie. Rozmawialiśmy najzwyczajniej w świecie, a po pięciu minutach on już nie żył. Chorował na raka płuc, a to podobno nie boli. Człowiek z tym nowotworem miewa ataki duszności, w końcu za którymś razem po prostu się dusi. Wtedy, po jego śmierci, zbuntowałem się i przestałem do hospicjum przychodzić. Wróciłem po trzech tygodniach. Teraz patrzę na wszystko z dystansem.

Wolontariusz w hospicjum, poza opieką czysto medyczną, robi wszystko. Karmi chorych, przebiera, myje, sprząta i przede wszystkim rozmawia. Nie tylko z chorymi, także z ich rodzinami. - Choroba, chociaż nie bezpośrednio, często dotyka także bliskich umierającego - tłumaczy Dariusz Ratkowski. - Wielu potrzebuje rozmowy, chce się wyzalić. Hospicjum ma ułatwić im to przejście na drugą stronę - opowiada wolontariusz. - Żeby umierali bez bólu i cierpienia, a śmierć była dla nich łatwiejsza, by odeszli spokojnie.

Chorzy, którzy trafiają do hospicjum, czasami spędzają tam kilka dni lub tygodni. Ale są przypadki, gdy w hospicjum żyją miesiącami, zzywają się z personelem.

- Pamiętam panią, która była u nas przez dziewięć miesięcy - wspomina Dariusz Ratkowski. - Była niezwykle zorganizowana. Najpierw załatwiła sprawy spadkowe, wszystkie formalności, dokumenty, a potem po prostu się do nas zgłosiła. Była gotowa i w pełni przygotowana na śmierć. Nawet w hospicjum nie próżnowała. Dla wszystkich wokół robiła piękne makatki. Potem, już po jej śmierci, czytałem książkę o umieraniu. Były tam opisane po kolei wszystkie etapy odchodzenia. Ta pani wszystkie u nas przeszła. Łącznie z pełnym pogodzeniem z losem na koniec. Ale u każdego człowieka odbywa się to inaczej. Czasami chorzy są źli na świat za to, co ich spotyka i do pogodzenia z losem nigdy nie dochodzą. ●